



Mirosław Derecki
ZANOTOWANE NAD TAMIZĄ (2):
GÓRA Z GÓRĄ...

Znajoma Polka, od lat mieszkająca w Londynie, opowiadała mi następującą historię: Po wyjściu z wieczornego dyżuru w biurze natknęła się na ulicy na starego znajomego, pana L., którego nie widziała od dobrych kilku miesięcy. Pan L. zaproponował wypicie kawy w najbliższym barze i... zanim się obejrzel, minęła godzina pierwsza w nocy.

W Londynie stacje metra są o tej porze już dawno zamknięte, autobusy nocne kursują bardzo rzadko i tylko na nielicznych liniach. Mojej znajomej pozostawało więc: albo wrócić do domu taksówką albo przewędrować piechotą trzy mile. Oczywiście wybrała tę pierwszą ewentualność. Ale tutaj znowu zaczęły się trudności: znajdowali się z panem L. w centrum miasta, przy Charing Cross Road, na pograniczu tętniącej nocnym życiem sławetnej dzielnicy Soho, gdzie o każdej porze dnia i nocy jest nadmiar chętnych amatorów na taksówki. Po dłuższym, bezowocnym czekaniu na skraju chodnika znajoma zdecydowała się jechać „na łebka”, jako że i w Londynie są ludzie, którzy wieczorami wyjeżdżają na ulice żeby „dorobić” na raty samochodowe. I tutaj następuje kulminacyjny punkt całej historii: gdy zatrzymała się wreszcie przy krawężniku elegancka limuzyna, w której siedział elegancki Hindus, a moja znajoma wsiadając powiedziała - „Do widzenia, dziękuję za miły wieczór” - po polsku do pana L., a coś tam zaraz po angielsku - do Hindusa. Hindus wypalił do niej czystą polszczyznę: „To gdzie mam panią podrzucić? A w ogóle to pani Polka z emigracji czy z Kraju?” Widząc zaś niebotyczne zdziwienie swojej pasażerki, wyjaśnił: „Bo widzi pani, znam polski, bo mam żonę Polkę. Ona jest z Lublina. Zna pani Lublin? Ja tam jeździłem. Taka przyjemna, cicha miejscowość. Dużo zieleni...” Zapytana, na oczy nie oglądała Lublina, ale za to w jej mieszkaniu zajmował właśnie pokój rdzenny Lublinianin, czyli niejaki Mirosław Derecki. Może to truizm i banał ale... świat jest jednak mały..!

W kilka dni później siedziałem późnym wieczorem z kolegą, zresztą „rodakiem” z Lublina, Łukaszem Mysłowskim, w pubie naprzeciwko mojego domu, popijając piwo „Double Diamond”. Pub był stary, bardzo „wiktoriański” - pełen kotar pluszowych, obitych

aksamitem kanapek, zmętniałych luster, rozwieszonych na ścianach żółkłych fotografii byłych właścicieli, znajdował się zaś przy cichej Hollywood Road położonej jak gdyby z dala od otaczającej ją ruchliwej, artystycznej dzielnicy Chelsea. „Stara wesola Anglia w kapsułce” - zwykł był mawiać o takich miejscach Łukasz. Istotnie miał racje. Wydawać by się mogło: „gdzie Rzym, gdzie Krym a gdzie Polska” w tej tutaj scenerii i tej atmosferze... A jednak! W trakcie rozmowy nagle ktoś siedzący z tyłu przy barze, dotknął mojego ramienia. Odwróciłem się: miałem przed sobą dość typową w młodzieżowym Londynie „dwukolorową” parę - rośli, elegancko ubrany Chińczyk i przystojna „dziewczyna z Chelsea” w ciuchach od „Biby”, „Miss Selfridge” i „Way in”.

„Ja bardzo pana przepraszam - powiedziała ona po polaku, uważnie się przyglądając - ale czy to nie pan Derecki?” Zgłupiałem. „Pan w Lublinie często bywał w klubie „Nora”, prawda? No więc ja tam też często przychodziłam z koleżanką ze studiów i pana zapamiętałam...”

Jak to bywa w zwyczaju wśród Polaków z Kraju przebywających za granicą, wymieniliśmy „na wszelki wypadek” numery telefonów i później już więcej nie miałem z tą dziewczyną kontaktu, nie mam pojęcia jak się nazywa, co w Lublinie studiuje i co robiła w Londynie, natomiast po tym i kilku podobnych spotkaniach przestałem się już dziwić czemukolwiek.

Z Łukaszem zetknąłem się w Londynie w sposób równie nieoczekiwany. Umówiłem się kiedyś na stacji metra Hammersmith z parą znajomych Polaków - on pracował „w murzyńskim buildingu”, czyli jako pomocnik murarza w niewielkim przedsiębiorstwie budowlanym prowadzonym przez właściciela, Murzyna, ona - jako „au pair”, czyli pomoc do dzieci - oboje przygotowywali się poza tym do rozpoczęcia studiów doktoranckich w London School of Economica. Do spotkania w końcu nie doszło, bo na milę przed Hammersmith autobus, którym jechałem, utknął w gigantycznym korku ulicznym; przez niemal godzinę, w deszczu, chmurze spalin z tysięcy pojazdów, ryku samochodowych klaksonów, policja dokonywała cudów żeby zaprowadzić na jezdni jaki taki porządek. Więc kiedy dobrnąłem wreszcie na Hammersmith Station, po Andrzeju i Barbarze nie było już ani widu ani słyhu. Przypomniałem sobie jednak, że umawiając się, wspominaliśmy, iż można by było pójść na kawę do „Dakowskiego”, pojechałem więc metrem na South Kensington. Wchodząc w drzwi słynnej polskiej restauracji i zarazem kawiarni, nie byłem jednak zbytnio przekonany, że ich tam spotkam. Filizanka czarnej kawy kosztuje „U Dakowskiego” 10 pensów, do tego trzeba dodać kelnerce „tip” (napiwek) w wysokości 5 pensów, bo mniej już naprawdę nie wypada, co łącznie stanowi wysokość ceny kostki masła „Anchor”, zaś molierowski Skąpiec jawił mi się zawsze w porównaniu z Andrzejem, jako skrajny utracjusz. Andrzej z zasady palił tylko

papierosy kolegów, w miarę możliwości poruszał się po Londynie piechotą, zaś jego podstawowe wyżywienie stanowiły jajka i zielony groszek konserwowy zmieszany ze skondensowanym mlekiem. Nazywał tę mieszaninę „jajeczno-grochowym puree na słodko”, twierdził, że jest niezwykle pożywna i że bardzo mu smakuje...

Oczywiście ani Barbary ani Andrzeja w głównej sali restauracyjnej nie było i właściwie nie wiem, co mnie podkusiło, żeby zejść na dół, do dodatkowej salki, tuż przy kuchni, gdzie już w żadnym wypadku nie podawano samej kawy lub herbaty i gdzie najtańsze danie: „kaszanka po polsku z kartofelkami i ogórkiem kiszonym”, kosztowała bagatelną sumkę - pół funta szterlinga. I tam właśnie napatoczyłem się na Łukasza. Odmieniony, z długimi włosami, „kak dandy londonskij adiet”, z nostalgicznym wyrazem twarzy konsumował właśnie ową typową polską potrawę narodową. „No to, stary. Świat jest jednak mały” - powiedzieliśmy wtedy równocześnie. Ostatni raz widzieliśmy się przed rokiem w Kazimierzu nad Wisłą na tarasie kawiarni prowadzonej przez panią Tyszkiewiczową i ani nam przyszło wtedy do głowy, że następne spotkanie będzie miało miejsce o kilka tysięcy kilometrów dalej na zachód, w zdetronizowanym byłym centrum „polskiego Londynu”. Łukasz siedział w Londynie już niemal od roku, „na zaproszeniu rodziny” i studiował język angielski w sławetnej prywatnej szkole języka angielskiego przy Rupert Street, w pobliżu Picadilly Circus, w której człowiek co krok potyka się o rodaków z Kraju a bywa, że i z własnego podwórka... I wcale to nie jest przesada, bo tam właśnie spotykaliśmy, już obydwaj, „wakacyjnego znajomka” z Kazimierza, Jacka Johna, plastyka warszawskiego, który, ożeniony z Angielką, osiadły od niedawna na stałe w Londynie, uzupełniał na Rupert Street angielskie słownictwo w celu - jak dowodził - łatwiejszego kłócenia się z małżonką.

W Kazimierzu Jacek mieszkował zwykle z ojcem i z siostrą w Rynku. W Londynie zajmowali z żoną dwa pokoiki w dość szpetnej i ponurej dzielnicy Hammersmith, w pobliżu stacji metra Ravenscourt Park. Tyle łączyło obydwu te zupełnie odmienne mieszkania, że w jednym jak i w drugim można zawsze było spotkać tłumy młodych Polaków przychodzących tam w zupełnie zaskakujących porach dnia i nocy. W Londynie miało to ten dodatkowy plus, że wszedłszy do mieszkania Jacka człowiek na pewien czas zapominał, że przebywa w zupełnie obcym mu kraju...

W Londynie Jacek miał się różnych zawodów, wsławił się zaś tym, że tylko on jeden jedyny potrafił znaleźć wspólny język ze słynnym majorem M., właścicielem hotelu w pobliżu dworca kolejowego Victoria. Major M. przedwojenny oficer Wojska Polskiego, ożeniwszy się po przybyciu do Anglii z majątną córką jednego z angielskich lordów, okazał następnie wiele przenikliwości historyczno-ekonomicznej lokując wzięte z wianem kapitały w

domach i hotelach. Po dokonaniu tego całkiem sensownego posunięcia, mógł już sobie spokojnie pozwolić na rozliczne dziwactwa.

Jacek zaczął się u niego na dłużej jako kierownik recepcji hotelowej. Major swój hotel traktował jak rodzaj wielkiego poligonu wojskowego, na którym rozgrywał całe batalie wojenne; poszczególne piętra były armiami, korytarze - pułkami a pokoje - kompaniami. Siłą rzeczy kierownik recepcji stawał się czymś w rodzaju adiutanta i trzeba przyznać, funkcję tę znosił ze stoickim spokojem. Innym dziwactwem majora było przekonanie, że liczne w naszej historii niepowodzenia czy to polityczne czy też ekonomiczne były wynikiem zbytniego gadulstwa Polaków i braku umiejętności precyzowania myśli. „Panie Jacku - perorował podczas porannego obchodu hotelu - wszystko jest tutaj źle urządzone i trzeba przeprowadzić zasadnicze zmiany”. „Tak jest!” - odpowiadał słuźbiście kierownik recepcji. „Więc taak... - ciągnął major - chyba czwórkę przesuniemy na jedynekę, dwójka pójdzie na dziesiątkę, szesnaście na dwanaście, a czwórkę zamienimy na piątkę”, „Ja myślę - zastanawiał się adiutant metodą dobrego wojaka Szwejka - że dodatkowo szesnaście można by przerzucić na cztery a w jedyńce zrobić miejsce dla szóstki”. „Tak, chyba tak będzie najlepiej” - godził się major i dodawał z zadowoleniem: - „Z pana jeszcze będą ludzie, panie Jacku, Pan potrafi myśleć cyframi. My, Polacy, nie umiemy myśleć cyframi. Anglicy myślą cyframi. Nowoczesne społeczeństwa myślą cyframi. Bierzmy przykład z Anglików i ze społeczeństw nowoczesnych!”.

Potem Jacek ruszył wykonać polecenia, to znaczy otwierał któryś z pokoi na wyższych piętrach i kładł się spać na dwie godziny, a major wychodził na spacer. Obydwaj zupełnie nie mieli pojęcia o co w rozmowie chodziło, ale też rozstawali się całkowicie z siebie zadowoleni.

Pośrednio dzięki Jackowi odnalazłem w Londynie „Maniuškę”. Pośrednio, bo gdybym nie wypił owego dnia na „spotkaniu towarzyskim” zorganizowanym w jego mieszkaniu o jednej butelki piwa za dużo i nie zadrzemał w związku z tym na moment w wagonie linii metra „District”, wysiadłbym na właściwej stacji a nie na Południowym Kensingtonie, gdzie już raz się znalazłszy, niejako siłą rozpędu wkroczyłem w gościnnie otwarte drzwi „Dakowskiego”. A tam właśnie, przy pierwszym stoliku pod oknem, starała się pić w jak najbardziej dystyngowany sposób kawą Mrs. Maria Turner, w lubelskich kręgach znajomych zwana popularnie Maniušką.

Maniuškę znałem jeszcze z czasów, kiedy prowadziłem w Wojewódzkim Domu Kultury w Lublinie klub „Zamek”, gdzie Maniuška przychodziła w charakterze niewypierzonej jedenastoletki. Potem poszła na studia, zrobiła magisterium, wyszła niezbyt pomyślnie za mąż, pomyślnie uzyskała rozwód, sprzedała lubelskie mieszkanie i wyjechała

do Warszawy. Potem Maniuśka przeniosła się do Francji, na pewien czas słuch o niej zaginął, odnalazła się we Włoszech, wróciła do Paryża, jakoby kontynuowała studia na Sorbonie, wyszła za mąż za Anglika i wreszcie osiadła w Londynie.

Wyjeżdżając z Polski wziąłem jej londyński adres i na miejscu odnalazłem ulicę i dom, daleko, na Actonie, ale Maniuśki nie zastałem; właścicielka mieszkania powiedziała mi, że jej lokatorka wyjechała na dłuższy czas znowu do Paryża. Poprzestałem na tej wiadomości zadając sobie tylko pytanie, czy przypadkiem Maniuśka nie odnajdzie się nagle w Ekwadorze, na wyspach Bahama lub w Gujanie Południowej. Nosi tę dziewczynę po świecie jak rzadko kogo. No i trzeba było przypadku, że wstąpiłem w kilka miesięcy potem, prawie bez zastanowienia, do polskiej restauracji na Południowym Kensingtonie... Okazało się, że w tzw. międzyczasie Maniuśka zdołała odwiedzić Szwajcarię, była znowu we Włoszech, a dwa dni przed naszym spotkaniem gościła jeszcze w Lublinie. „A wie pan, że ja właśnie przedwczoraj szukałam pana w Lublinie, w klubie „Nora”? - przypomniała sobie pod koniec rozmowy - „Pisano mi do Francji, że mnie pan szukał w Londynie i pomyślałam sobie, że może już pan wrócił...”

„I cóż słyhać w „Norze”? „Wszystko po staremu - powiedziała Maniuśka - Siedzą wszyscy, jak siedzieli, piją wszyscy, jak pili”.

Pamiętam, że się wtedy rozrzewniłem. Dobrze jest mieć na świecie jedno przynajmniej miejsce absolutnie stabilne, do którego zawsze można wrócić jak do zasiedziałej na prowincji rodziny.

Kilkaset metrów od mojego domu, przy Old Brampton Road, mieszkała i pracowała Ewa Schejbal, siostra Jurka Schejbala, aktora Teatru im. Osterwy w Lublinie. Idąc pod wynotowany mi własnoręcznie przez brata adres, spotkałem Ewę przypadkowo na ulicy przed jej domem i rozpoznałem dzięki wielkiemu podobieństwu do Jurka...

W drzwiach Konsulatu PRL w Londynie natknąłem się na Hanką Branicką, lekarzkę z Lublina, która właśnie załatwiała formalności związane z uzyskaniem paszportu konsularnego...

Na peronie Liverpool Street Station, gdzie przyjeżdżają pociągi z Polski, dwóch brodatych facetów wypytywało mnie czy przypadkiem nie jestem z Lublina...

W rozmowie z jedną z londyńskich znajomych, panią Wołkowicką, zgadałem się przypadkowo, że jest ona daleką kuzynką mojej lubelskiej koleżanki, Ewy Tuszkiewicz...

Powiadają, że góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem - zawsze... Fakt.